

Pułapka



FRANCISZEK MIRANDOLA

TROPY

Putapka

Trzymał się półprzytomny ze strachu zimnych, rdzawych krat więzienia i szeptał w czarnej noc:

— Słuchaj! Słuchaj!

— Słucham! — mówiła noc czarna i wyl wicher¹.

— Zbłądziłem w zakamarek, zbłądziłem... Coś zatrzęsnęło drzewi... wyjść nie było sposobu... domy się poczęły ruszać... obstępili mnie parkany... przygięły się drzewa od góry... a nade wszystko, ktoś zatrzęsnał drzewi...

— Ja... noc, ciemność...

— Ty?... Nie, nie mów tak... Nie przerywaj... Nie może być... Więc mówię... zbłądziłem... A chciałem jeno... czekaj... coś chciałem... Aha... Coś połyskało na bruku...

— Szkło! Szkło! Rozbita faszka z wódki... Przeglądał się w niej Syriusz świetny...

— Skąd wiesz? Nie, to było coś cudnego... I po cóż bym...

— Nie... nie...

— I po cóż bym dlatego miał zbaczać? Zresztą... wszystko jedno... nic zmienić tego nie zdoła, że: zbłądziłem.

— Nieprawda...

— Zbłądziłem... błędził... dził... dził... eeeem... em!... Żeeee... błędził... błę... Żeee...

Coś jak papuga wrzeszczało gdzieś z góry spod sufitu.

Więzi zeskoczył z przymurka, na którym wisiał, kurczowo trzymając się kraty.

Papuga się zbudziła. Sumienie! Cała znów noc męczarni... Co począć... co?

Wyciągnął pięści w stronę ptaka i wbiwszy oczy w ciemność, rozkazał:

— Milcz!

Przez chwilę łopotały skrzydła i rozlegały się gardłowe dźwięki. Potem nastąpiła cisza. Liczył sekundy: jedna, dwie, trzy... dobrze!

— Posłuchaj! — szepnęła znów ciemność — To było tak...

— Czekaj! Czekaj! Jest tu pewnie jeszcze druga bestia. Poczekaj. Wlecz się przeciw za człowiekiem druga forma sumienia... poczekaj...

Z wyciągniętymi ramionami² obszedł całą celę. Nic.

A może tam w górze, pod sklepieniem? — pomyślał.

I jakby w odzew przypuszczeniu rozległ się kędyś spośród rozgałęzi gotyckich żeber cichy, szyderczy śmiech.

Szukał skrzętnie za czymś³, co by mu posłużyć mogło.

— Mam! — odetchnął radośnie.

Znalazł deskę ze sporym, sterczącym gwoździem.

Oparł ją o mur, wspiął się wzwyż i szukał po sklepieniu.

Natrafił na gotyckie wypukłe żebra, niby napęczniałe krwawe żyły ciała ludzkiego czy gałęzie drzewa.

Szedł po konarze żebra i wnet dotknął zwornika.

Misternie był wyrobiony w kształt małpy.

Położył dłoń na jej ustach. Śmiały się szyderczo, cicho.

Sumienie, Kondycja ludzka,
Zwierzęta

¹wicher — dziś: wicher. [przypis edytorski]

²wyciągniętymi ramionami — daw. forma N.Im; dziś: wyciągniętymi ramionami. [przypis edytorski]

³szukał (...) za czymś — dziś popr.: szukał czegoś a. rozglądał się za czymś. [przypis edytorski]

Zamachnął się i trzasnął pięścią w te usta.
Zeskoczył na dół, rad bardzo.
Kopnął deskę. Padła z łoskotem. Zahuczało rozgłośnie, potem kaźnię zaległa cisza głęboka.
— Teraz mów! — powiedział w ciemną noc. — Jak się to stało?
Nic mu nie odpowiedziało. Czekał, czekał... daremnie. Ta cisza wprowadziła go w rozpacz. Zrozumiał, że chcąc nawiązać kontakt z zaświatem... zerwał go.
Chcąc uprościć drogę, zdeptał ślady w gąszczu życia.
Cisza.
Rad by był usłyszeć cokolwiek, bodaj głos jakiś, bodaj papugi wrzask, bodaj śmiech małpy.
— Mów! — prosił jak dziecko splakane, zestraszony⁴.
Nie odpowiadało nic.
Jak człowiek, który wszystko utracił, zaczął rozumować trzeźwo, zimno, porządnie. Był zdany na siły własne. Przede wszystkim więc: Jak się to stało?
— Szedłem prosto... nagle...
I już nic więcej nie wiedział, bo jakże może cokolwiek wiedzieć człowiek, który nagle zapadł się w świat inny.
Byłe promyk słońca, byłe głos jakiś. Po tej wątłej nici wydostałby się jakoś w świat żywych.
To nie był sen. O, sen jest jaśnią i prawdą wobec tych oto ciemności. Nie grób... grób jest ogrodem wobec tej kaźni!
Wstał i jął⁵ chodzić wokół zamkniętej przestrzeni.
Naraz stanął. Coś pukało... pukało... cichutko, lekko... ledwo dosłyszalnie. Zaczął szukać. Wodził rękami po ścianach. Suwał je z góry aż do posadzki. Nic. Szukał dalej... idąc za owym nieuchwytnym pukaniem.
Nagle zadrżał.
Natrafił na coś miękkiego, ciepłego.
Po chwili trzymał w dłoniach małą ptaszynę.
Serce ptaka waliło młotem.
Od uderzeń tych drżał cały, drżały mury więzienia, tętniła ziemia...
Czuł, że uderzenia te mogą rozwalić ziemię.
Albowiem był to strach.
Porwał się biec ku oknu, ale musiał go długo szukać. Nareszcie trafił i wsunąwszy rękę poprzez kraty otworzył dłoń.
Rozległ się furkot skrzydeł.
— A to było tak... — posłyszał nagle z ciemności.
Ciemną zaczęła opowiadać.
Przywarł do krat łokciem. Ujrzał słońce na czerni, rozświetliła się noc. Zrozumiał, że może w ciemku żyć radość.
Leżał na twardej słomie, głos od okna przywołał go i szeptać począł:
— A to było... tak...
— Jak? — spytał.
— Szedłeś prosto... prościuteńko, jak każe prawo... a nad głowę twą była pieśń...
— Tyle wiem sam. Była pieśń radosna.
— Tak. Szedłeś tedy... gdy wtem nagle..
— Już wiem! Szkło! Rozbita faszka!
— Nie!... Gdzież tam!
— Nie?
— Więc mówię ci... Szedłeś... wtem... nagle z bocznej, brudnej uliczki ktoś krzyknął: „Ratunku!”.
— I co? I co dalej? — pytał rozciekawiony. Nagle pod sklepieniem załopotwały skrzydła.
Więziem skurczył się ze strachu. Czekał... wysilił swą wolę, skupiał do rozkazu, ale czuł, że mu jej braknie, że nie uśmierzy sumienia.

Strach, Ptak

⁴zestraszony — dziś: przestraszony. [przypis edytorski]

⁵jąć (daw.) — zacząć. [przypis edytorski]

— Wiesz, jak to się stało — powiedziała znów ciemność.
 No wiem... Ktoś z bocznej uliczki zawołał...
 — Ale nie! Nie!
 — Znowu inaczej?
 — Tak było... Słuchaj! Szedłeś ulicą... szedłeś... ponad twoją głową był sztandar Jutra z koroną cierniową na czerwieni niepokalanej... wtem nagle...
 — Ktoś krzyknął...
 — Nie! Wcale nie!... Nagle zapłakało dziecko... dziecko... mała dziecina przestraszona tym, że śmieci porwane wiatrem tańczą dziwacznie w kółko.
 — I dlatego... ja...?
 — Któż ci mówi, że dlatego...? Tak... było... to dosyć... tak lub podobnie... Dlaczego to ON jeden chyba wie sam tylko... albo i ON nie wie... Może tego pytania całkiem nie ma... Któż zgadnie... Wiele „kwestii” pojawiało się na świecie, pojawia się i pojawiać będzie... choć wcale nie istnieją.
 ...To prawda. Na pytanie: „Dlaczego?”... odpowiedzieć się całkiem nie da... i koniec... podobnie jak na skrzyp drzwi źle nasmarowanych albo dźwięk dzwonka... pomyślał.
 Poweselał. Rzeźwy był, silnym się czuł, wszystko w nim wołało o czyn.
 Z wyciągniętymi⁶ przed się rękami chodził po kaźni od muru do muru.
 Ratować, myślał, ratować trzeba... ratować koniecznie, jeśli już nie mnie, to to, co niosę... ...Serca mego męstwo, woli rozmach spętany rozkuć muszę... Tak człękowi nie wolno ginąć... nie wolno... Złe patrzy... a gdy pozna, że silne... Ratować trzeba siebie... ratować... ratować!
 Potrafił deskę, z której sięgał ku sklepieniu i po chwili dłuwał wyjętym z niej gwoździem koło osady kraty. Ale to było czyste dzieciństwo... Ileż lat... ile lat, a co jeść tymczasem?
 Jedynie u drzwi coś by się może zrobić dało... zaraz... ten sztyft... potem... tamten... ano może się uda...
 Zajęła go praca, klęczał u drzwi odwrócony od okna, którego prostokąt nieznacznie odciął się od czarnego wnętrza kaźni. Wyteżywszy wzrok, dostrzec też można było obok okna wypukłe żebro sklepienia i jakiś połyskujące oczy wysoko ponad drzwiami, jakby ptak drapieźny siedział przyczajony na gzymsie.
 Pracował żarliwie, chociaż bez widocznego skutku, wybić usiłował nity wiążące zamek, dostać się do jego wnętrza.
 Przestał rozmyślać, był niemal wesoły, miał coś w rodzaju nadziei... To był przynajmniej realny, prawdziwy zamek, zrobiony przez prawdziwych ludzi... już bez pytania oczywista jawa... Dotykał palcami tej rzeczywistości... syn ziemi pieścił żelazo wykopane z tej ziemi, obrobione rękami czy maszynami ludzkimi...
 — Chodź no! Chodź! — szemrało od okna, mimo że nikogo nie było widać.
 Zbliżywszy się, choć ciemności zalegały wszystko, miał wrażenie, że okno więzienne znajduje się wysoko, bardzo wysoko ponad ziemią i że wychyliwszy się, można by patrzeć wprost z góry na czuby drzew i dachy domów.
 — Wychył się... wychył się... — usłyszał.
 Nagle coś mu się ciężkiego położyło na ramionach, jak gdyby ktoś go przytrzymał z tyłu i nad samym uchem coś szepnęło:
 — Samobójca!... Samobójca...
 Chwyił się krat i trzymając się ich silnie, pił powietrze całą piersią. Teraz, gdy było bodaj trochę rozwidnione, stało mu się z dławiącej trucizny nektarem.
 Pił powietrze, nie słuchając wcale, co szemrze koło niego. Był nawykły do głosów, dobywających się z każdego stworzenia... czytał ruch chmur i gwiazd hieroglify...
 Wołało go wciąż, bez ustanku:
 — Chodź no! Chodź! Już czas!
 — Kędyż?? Kędy? — pytał.
 — Przez Wrota Strachu! — odpowiedział głos, jakby z wielkiej dali.
 Dreszcz nim wstrząsnął.

Wolność, Śmierć

⁶wyciągnięty — dziś: wyciągnięty. [przypis edytorski]

⁷kędy (daw., gw.) — gdzie. [przypis edytorski]

— Jak to? Już?... Dziś?

Pytał jak dziecko, co się boi dać wyrwać zęb zepsuty.

Znowu nie rozumiał nic a nic... Ten głos, ten głos, który go ratował tyle, tyle razy... teraz, w chwili nieszczęścia, w zawiłania momencie, strasznej goryczy, czasę śmierci do ust mu przykłada?

Wrota Strachu... Nie, kiedyś, wśród światłości i ciszy, gdy zbieleją już włosy... ale teraz... dziś...

Umiał czytać ruch chmur, gwiazd hieroglify... i cóż z tego... nie umiał przeczytać swego życia...

— Chodź! — mówiła ciemność z coraz większej dali. — Chodź w przemienione istnienie, w wolność, ty spracowany za młodu... chodź po szafirze radosnych tropów szukając życia innego co dnia...

— I czemuż — pytał — ty oddalająca się, tająca się w czerni wabisz mnie na okropną, przerażną⁸ ścieżkę? Mówiłaś mi zawsze o zwycięstwie, o nieśmiertelności...

Z dali, ale wyraźnie, jak głos dzwonu, posłyszal:

— Jak to?... nie wiesz?... Nieśmiertelność jest córką skonu.

— Wiem, wiem — odparł, trzymając się krat — Wiem, ale... wszakże kraty...

— Chodź! Jeszcze chwila, a drzwi się mogą zamknąć z trzaskiem... na zawsze...

Na poły zdecydowany zszedł jednak z przymurka i nagle rzucił się na posłanie ze słomy.

— A niech się tam zatraskują drzwi — pomyślał lekceważąco — byleby wróciło to, co jest prawdziwą, codzienną prawdą... to życie bez maski, czy też nawet w masce, ale w znanej, dobrze znanej masce jawy... ach... byle wróciło...!

Ale nim dokończył tej myśli, już zawołał:

— Nie! Nie! Nie chcę przemazać⁹ pragnień... nie! Raczej śmierć!

— Chodź! — doleciało go z dali wielkiej. Zerwał się.

— Dobrze! — wrzasnął z rozpaczą na całe gardło, aż jęknęły¹⁰ echa potężne. — Dobrze! Idę!

Wyskoczył na okno i przechylił się na zewnątrz.

Zdziwiło go, że przemknął kratę jak duch. Zdziwiło go też, że nie zaskrzeczała papuga.

— Ach! Więc ja nie zbłądziłem! — pomyślał — to była moja droga... kawałek tylko biegła pośród ciemności...

I ogarnięty nagle ogromną radością, wolny już wewnątrz¹¹, rzucił się w półmrok gęsty.

Ledwo stracił spod nóg ziemię, uczył, że się kłębi pod nim powietrze, że go niesie, że u rąk ma długie, kładące się na fali wiatru skrzydła giętkie, ruchliwe, czule na każde drgnienie, a stalowe, zdolne nieść wysoko... w samo choćby niebo.

Spłynął. I nagle ujrzał przed sobą w niepojętej oddali coś błyszczącego, niby mała gwiazda.

Podobne to było błyszczącemu ziarnu pszenicy.

Otaczała je jakby mgła jasna, jakby płomień liliowy, to znów szafirowy...

Od gwiazdy tej jaśniała szybko ciemna przestrzeń. Pędził w topiel światła, ciągniony, bezwolny, choć jednocześnie własną mocą, pospiesznie, nagląc się sam, jak do wybawienia.

Pod sklepieniem kaźni więziennej rozległ się łopot skrzydeł.

Wielkie, ciężkie ptaszysko sfrunęło na dół, siadło na przymurku okna i wsadziwszy głowę w kwaterę kraty patrzyło w rosnącą jasność, mrugając oczami.

A ponad ptakiem chwiała się w powietrzu na długiej, wężej¹² szyi maska rozgrymaszonej małpy.

Patrzyła, co się dzieje.

⁸przerażony — dziś popr.: przerażający. [przypis edytorski]

⁹przemazać — przekreślić. [przypis edytorski]

¹⁰jękły (daw., gw.) — dziś: jęknęły. [przypis edytorski]

¹¹wewnątrz — dziś: wewnątrz. [przypis edytorski]

¹²węży — dziś: węzowy. [przypis edytorski]

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z **Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur**.

Ten utwór jest w domenie publicznej.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na **Licencji Wolnej Sztuki 1.3**. Fundacja Wolne Lektury zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w **Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur**. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/mirandola-tropy-pulapka>

Tekst opracowany na podstawie: Franciszek Mirandola, Tropy, Nakładem czasopisma „Maski”, Skład główny w księgarni I. Czerneckiego w Krakowie, Kraków 1919

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>). Reprodukacja cyfrowa wykonana przez Fundację Nowoczesna Polska.

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Agnieszka Żak, Aleksandra Sekuła, Paulina Choromańska.

Wesprzyj Wolne Lektury!

Wolne Lektury to projekt fundacji Wolne Lektury – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

Jak możesz pomóc?

Przekaż 1,5% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Wolne Lektury, KRS 0000070056.

Wspieraj Wolne Lektury i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przekaż darowiznę na konto: **szczegóły na stronie Fundacji**.